

Dodatek do „Gazety Narodowej”

z dnia 10 Czerwca 1900.

Z krainy upałów.

Z Buenos Ayres piszą:

Garstka Polaków, która w tym czasie zbliżyła się do dorzecza Rio de la Plata, właśnie importowana z Hamburga, Udiny lub Amsterdamu, usłyszy zaraz na wstępie: Que calor! (Jakież gorąco!) Un calor barbaro! (A to straszliwy upał!) Un dia sofocante! (Jakże duszny dzień!) Insuportable! (Nie do wytrzymania już!) itd.

Gorąco, upały są niewyčerpanym tematem, każdy czuje się po prostu zmuszonym do zakomunikowania drugiemu, że jest gorąco, ogromnie gorąco. Przytem obciera się wszyscy ogromnymi chustkami — najlepiej wziąć od razu ręcznik — pot spływa strugami, jak za czasów nieboszczyka Noego, a wreszcie nie mogą wytrzymać już dłużej ognistych promieni Feba, udaje się każdy na chłodną bombkę.

Ponieważ żyjemy w wieku pary i elektryczności, więc wszystkie większe restauracje zaprowadziły olbrzymie elektryczne wachlarze i człowiek siedzi rzeczywiście w przyjemnym chłodzie, popijając jęzmienny trunk z równym smakiem, jak w Monachium i Piznie. Jest tu mianowicie znakomite piwo, świetna kawa mrożona — wszystko to jednak kosztuje słone sumki.

Nie każdy atoli pozwolił sobie może na całodzienną siadankę z bombą i uprawianie kultu Bacchusa. Buenos Ayres nie nadarmo jest nowożytną stolicą o wielko-biznesowym zakroju i niesłychanej konkurencji we wszystkich gałęziach produkcji. Trzeba pracować, choćby się szanowało 40 stopni w cień.

Noce są szczególnie przyjemne. Nie pozostawiają najmniejszego wistryku i żeby usnąć, trzeba wyszukać sobie najchłodniejsze miejsce w całym domu, cały dom jednak wydziela szkaradne ciepło i nie pozostaje nic innego, jak szukać ochłody w kąpielowej wannie. I tutaj niestety woda jest ciepła. Jedyny ratunek byłby w zamianie gorącej krwi na rybą.

O wiele wygodniej jest już na przedmieściach, gdzie studnie zawierają wodę świeżą, a nawet zimną. Najstarsi ludzie zapewniają, że jeszcze nigdy nie widzieli takiego lata jak tego roku w końcu stulecia. Something is wrong. Zwykle po 3, 4 godzinnych upałach następuje burza z piorunami, tego roku jednak żadna burza nie chce odświeżyć powietrza.

Dziwnym jest jednak to, że tubylocy skarżą się bardziej na gorąco, niż na zimno, a powinni przecie być przyzwyczajeni do tego rodzaju temperatury. Przyczyną szukają należyte w idyotycznej modzie, nakładającej na wszystkich niesłychane ciężary. Każdy szanujący się mężczyzna nosi sztywną, twarde koszulę płócienną, do tego wysoki kołnier, sięgający po uszy, do tego wąskie, spiczaste trzewiki: oto jest moda. Z czegoż żyłby specjaliści od nagniotków i od porażek słonecznych?

Damy, białe czy czarne, są pod tym względem o wiele szlachetniejsze. Mogą się ubierać w esteryczne, oienitkie jak pajęczyna materje, uwolnione są od noszenia wysokich kołnierzy, wyjąwszy ohyba kilka Angielek, których strój zbliża się do męskiego. Gdyby damy porzuciły jeszcze gorsety, byłyby zupełnie a l'aise, ale gorset jest żeńską koleżanką sztywnej koszulki płócienną i razem z miniaturowymi trzewikami staje się plagą ploi pięknej.

Jedyną klasą, która nosi racjonalne obuwie, są Baskowie. Ich olbrzymie „alpargatas” podobne są nieco do sandałów. Tylko biedni ludzie noszą trzewiki baskijskie, bo nie mogą pozwolić sobie na kurać nagniotków i wykrzywionych pięt. W całym Buenos Ayres nie znajdziesz innego obuwia prócz „nagniotkowego”. Jeśli podniesiesz pewne zarzuty, kupiec powie ci zaraz: „Que quiere Usted! Es la moda!” (Czego pan chcesz, taka jest moda!).

Co do nakrycia głowy, to moda jest obecnie dość rozumna. Przed 10 laty noszono w największych upałach kapelusze filcowe i cylindry, dziś nie spotkasz ani tuzina mężczyzn w cylindrach. Wszyscy noszą kapelusze słomkowe w najczystszych kolorach i fasonach.

Ostatnią wreszcie plagą dla ludzi z „towarzystwa” są czarne ubrania. Nawet muryzmy nie ubierają się, o ile możności, czarno, choć im w tym tak do twarzy, jak oilećcin w karacie, tak samo ciemne Argentynki stroją

się w ciemne kolory. Za to pudrują się w niemożliwy sposób, chcą uchodzić par force za białe. Każda z nich chce ubierać się na czarno, żadna jednak nie chce uchodzić za czarną.

House of Representatives.

Zdaje się, że w epoce Wolfów i Schönererów nie może być mowy o „manierach” w parlamencie, a jednak nigdzie podobno nie są one tak swobodne, jak w izbie deputowanych w Waszyngtonie „House of Representatives”, stanowiącej w konstytucji amerykańskiej odpowiednik do angielskiej izby gmin.

Oto kandydat do wejścia na trybunę czeka na kurytarzu na chwilę odpowiednią, a tymczasem obserwuje salę posiedzeń przez drzwi, które zamykają się i odmykają co chwila.

Niewielu prawodawców amerykańskich, obecnych na sali, siedzi w pozach, za które łony ich bezwzględnie wyprosiłyby ich ze swoich własnych salonów. Tu i ówdzie oddzielne grupy rozprawiają żywo o ostatnich wydarzeniach na torze.

Jeden z posłów przemawia z trybuny. Ma on jednego, jedynego istotnego słuchacza, który co chwila wreszcie: „names! names!” (nazwisk! nazwisk!) W chwili, gdy powtarza to po raz dwudziesty, zniecierpliwiony mowa oiska mu jakąś książkę na głowę. Przechodzący uśmiecha się do niego, ale zaczyna wołać: „Order! Order!”

— Co to jest? — pyta widz z kurytarza.

— To nic — odpowiada mu jego towarzysz — rozprawiamy o wolnościach dla Kuby.

Oczywiście ruchliwość deputowanych amerykańskich dochodzi do najwyższego stopnia natężenia w czasie rozpraw nad prawami pierwszorzędnych dla Stanów Zjednoczonych znalezienia, jak np. nad budżetem itp. Deputowani wówczas się na ekscentryczność mówią: „Nie chcemy być ciężcy i ospali, jak ci panowie z senatu”.

Senatorowie w House of Representatives mają opinię ludzi bawiających się w purytanizm: siedzą spokojnie na swoich miejscach i jednym uchem łowią słowa mówców. Każdy szanujący się poseł z izby deputowanych uważa za taką porę za niewłaściwą, bo „ospałą”. Zresztą senatorowie nie tylko pod względem pozycji zasiadają na niezadziwieniu swoich kolegów z izby niższej. Oto przybierają na posiedzenia w turkach i krawatach białych. Tymczasem w izbie reprezentantów o żywotności ciała prawodawczego ma świadomość między innymi i niesłychana pstroczona kostymów, różnorodność krawatów, kamizelek i krawatów.

Niektórzy posłowie czarni lub kreole przybierają w wielkie upały w jednej koszułce i w jedwabnych „dwóch łokciach” nie troszcząc się bynajmniej o salonową toaletę. W szatni koleżka kapeluszy odznacza się bogactwem niesłychanym form i kolorów. Nie brak tam żadnego ubrania głowy, używanego przez ludzką: szarych od cylindra, a skończywszy na płaskich kapeluszach z białej oeraty.

Sala posiedzeń amerykańskiej izby reprezentantów uważana jest za największe audytoryum na świecie. Sala składa się z ośmiu tarasów, wznoszących się amfiteatralnie jeden nad drugim, a na każdym tarasie widnieje 60 pulpitów. Nawizko deputowanego wyinkrustowane jest srebrem na każdym pulpicie. Posłowie siedzą na wygodnych fotelach, które można przysunąć do foteli sąsiadów w chwilach narad lub zwierzeń poufnych.

Skład poselski waszyngtońskiej House of Representatives odnawia się co dwa lata. Pierwszego dnia po wyborze każdy z posłów znajduje na swym pulpicie bukiet pięknych kwiatów. Jest ich tak dużo, że sala wygląda jak wystawa ogrodnika, a wonie aż kręgu w głowach. Sala posiedzeń jest jedynym miejscem, gdzie palić nie wolno. Za to ilekroć otworzą się drzwi na kurytarz, do sali wpadają kłęby dymu z niezliczonych fajek i cygar.

Osobliwość parlamentu amerykańskiego jest to, iż ma on swój korpus pasów. Chłopcy ci, od lat 12—17, zazwyczaj krewni deputowanych i senatorów, otrzymują po 50 dolarów rocznej pensji. Czynności ich ograniczają się przechadzaniem po kurytarzach i przysłuchiwaniem się rozprawom.

Deputowani w Waszyngtonie otrzymują

po 5.000 dolarów rocznie tudzież 1.900 dolarów na utrzymanie sekretarza.

U WÓD.

Towarzystwo zbierało się do obiadu. Lokaje usługiwali powoli, bez pośpiechu, oczekując na spóźnionych gości. Kuracyusz z ciekawością odwracał się za każdym otwarciem drzwi, aby zobaczyć nowe twarze. Jest to główna rozrywka u wód. Czekają się obiady, aby popatrzyć na świeżo przybywających i zgadywać, kto to, ozem się zajmuje, o ozem myśli.

Tego wieczoru przybyli tylko dwie osoby, mężczyzna i kobieta, ojciec z córką. Przybyli zrobiti odrazu na mnie wrażenie typów Edgara de Poe. Oboje nosili na sobie ślady cierpienia. Widać było, że los tych dwoje przesładował. Ojciec wysoki, szorstki, cokolwiek przygarbiony i pomimo młodej jeszcze twarzy zupełnie siwy. Córka w wieku 24 lub 25 lat, niskiego wzrostu, także bardzo szorstka, blada, wyglądała na zmęczoną i stroskaną. Była ładna, lecz pięknoscia „nie z tego świata”. Jadała bardzo powoli, jak gdyby nie miała władzy w rękach.

Siedzieli naprzeciwko mnie. Spoglądałem, że ojciec cierpi na dziwne drgawki. Za każdym razem, gdy chciał coś wziąć, ręka jego robiła jakieś szybkie koło, jakiś szalony zygawk, zanim dotknęła tego, czego szukała. Te drgania konwulsyjne były tak prężne, że odwróciłem się.

Spoglądałem, że córka do jedzenia nie zdjęła z lewej ręki rękawiczki.

Po obiedzie wyszedłem przejść się po parku, należącym do zakładu. Wieczór był panny. Błądziłem po ciemnej alei, do której dochodziły wesołe dźwięki orkiestry kasy nowej.

Nagle spostrzegłem idących powoli w moją stronę ojca z córką. Powitałem ich ukłonem, jak się wita sąsiadów hotelowych, gdy ojciec podszedł do mnie i zapytał:

— Czy nie byłby pan łaskaw poradzić nam, w którą stronę mamy się udać, aby się przejść przyjemnie i bez wielkiego zmęczenia? Przeczasałem, że fatyguję pana..

Oferowałem się zaprowadzić ich do dolinki, leżącej na dnie wąskiego wąwozu, gdzie między urwistymi, porośniętymi lasem skałami płynęła mała rzeczka. Zgodziłem się.

Idąc, rozmawialiśmy o leczniczych właściwościach wód.

Córka moja — zaczął nieznajomy — cierpi na niezwykłą chorobę, której przyczyny nikt zrozumieć nie może. Jedni lekarze twierdzą, że to choroba serca, drudzy mówili o wstrząsie, inni znów o schizofrenii mlecznej. Teraz odkryli chorobę żołądka i dla tego przybyliśmy tutaj... chociaż ja myślę, że wszystkim winny nerwy. W każdym razie to smutne!

Przyszedł mi na myśl jego drgawki, zapytałem więc:

— Czy to nie dziedziczne? Zdaje mi się, że i pańskie nerwy nie są w porządku..

Odpowiedział spokojnie:

— Moje?... O, nie! Nigdy na nerwy nie chorowałem.

Zamilkł, lecz po chwili odezwał się:

— Ach! pan ma na myśli te drgania ręki, gdy biorę coś? Dostałem ich wskutek strasznego przerażenia, jakiego doznałem... Niech pan sobie wyobrazi, że córka moja była za życia pochwiana..

Zdziwiony nie odpowiedziałem ani słowa, a on po chwili oignął dalej:

— Julia przez czas jakiś cierpiała na strasne ataki sercowe. Zналиśmy skutki podobnej choroby i byliśmy przygotowani na wszystko.

Pewnego razu przyniesiono ją z ogrodu martwą... Lekarz skonstatował śmierć... Siedziałem u swiok przez dwie doby.

Sam ułożyłem ją do trumny i odprowadziłem na omentarz, gdzie złożono ją w grobach rodzinnych. Pochowaną została w sukni balowej, z wszystkimi kosztownościami.

Miałem ją jedną, żonę straciłem już dawno. Powróciłem samotny, przybity i z bólu osmalały. Padłem na fotel bez sił.

Stary mój sługa Prosper, który pomagał mi ubierać i kłaść w trumnę Julię, wszedł po ośmiu i zapytał:

— Może by pan zjadł coś?

Poruszyłem głową przecząco, nie mówiąc.

Prosper mówił dalej:

— Proszę pana, tak nie można, pan się rozchoruje... Może pomóż panu położyć się do łóżka?

— Nie, daj mi pokój!

Wyszedł. Ile czasu przeszło, nie wiem. Co za strasna noc! Zimno było. Na kominku ogień wygasł, słychać było tylko słowrogie łomotanie wiatru w okna.

Siedziałem nieruchomo, nie śpiąc. W tem dał się słyszeć dźwięk dzwonka na drzwi wchodowych. Drgnąłem tak, że fotel trzasnął podemną..

Głos dzwonka niski i ciężki rozlegał się po pustym domu, jak po piwnicy. Spojrzałem na zegar. Była druga po północy. Kto mógł chodzić o tej porze?

Znów zabrzmieli dwa uderzenia dzwonka. Służba widocznie spała lub też nie ruszała się ze strachu. Wziąłem świecę i szeszedłem na dół..

Chciałem zapytać: „Kto tam?” — lecz zawstydzilem się i powoli odsunąłem ciężkie zasuwę. Serce mi biło... Balem się..

Otworzyłem prędko drzwi i ujrzałem w ciemności białą postać, stojącą przede mną jak widmo... Cofnąłem się przerażony i wyszeptałem:

— Kto... kto jesteś?

Usłyszałem odpowiedź:

— To ja, mój ojciec..

Tak, to była moja córka... Widocznie straciłem zmysły i cofając się przed wcho- dzącym widmem, zrobiłem ręką ruch odpędzający ją, ruch, który pan zauważył i którego dotąd pozbyć się nie mogę.

Widmo powtórzyło:

— Nie bój się, ojciec, ja żyję... Chcąc osiągnąć pierścienki, odciąłem mi palec, krew trysnęła i przywróciła mnie do życia.

Spoglądałem tedy, że była cała zbroczona krwią. Padłem na kolana, łkając i dusząc się.. Po chwili odzyskałem ockolwiek przytomności. Zaprowadziłem ją do swego gabinetu, posadziłem na fotelu i szarpnąłem gwałtownie za dzwonek, aby przywołać Prospera. Trzeba było rozpaść ogień, przygotować posiłek i wezwać pomocy..

Wszedł stary sługa i ujrawszy córkę moją, chciał krzyknąć, lecz z przerażenia, padł martwy, twarzą na ziemię, bez głosu..

To on w nocny dostał się do grobów, skaleczył i zostawił dziecko moje... Nie zadał sobie nawet trudu postawić trumnę na swoim miejscu. Tak był przekonany o zaufaniu, jakie miałem do niego, że nie obawiał się nawet podejrzania.

Widzi pan, że jesteśmy ludzie bardzo nieszczyśliwi!

Zamilkł. Noc zapadła. Poczulem lek tajemniczy w obecności tych dwojga ludzi: córki zmartwychwstałej i ojca z temi strasznymi drgawkami..

Po chwili odezwałem się:

— Chłodno się robi, czas do domu.

Powróciłem do domu.

Guy de Maupassant.

Sztuki piękne.

Z teatru. Zwykle to zresztą historia takich panów Welskich i Gorzembekich z wos- rajejszej komedji Zalewskiego „Lichwiarskie swaty” że chcą okpić drugich, sami wpadają w podobną pułapkę. Pan Welski stracił wszystko — i nie ma już nic prócz masy długów i szeregu natrętnych, brodatych wierzycieli. Ci najwzierniejsi przyjaciele chcą mu pomódz w biedzie, otenić go bogato, by w ten sposób odzyskać stracone bezpowrotnie pieniądze. Wysłała więc Welskiego z lichwiarskim Wajsbilumem do Warszawy, pożyczając mu nawet na ten cel pieniądze i rozporozynia się gonitwa za posagiem. Zda się, zabiłaby nadzieja pewna złotego runa — pana Gorzembka ma być tą wybacielką Welskiego i jego przyjaciół żydów. Wszystko poszło jak z płatka, kontrakt ślubny spisano, tylko w tem sęk, że i p. Gorzembki, jak się po ślubie okazało, był zupełnym bankrutem, a połował również na bogatego zięcia — trafiał frant na franta. Na szczęście jest i *deus ex machina* — bogata ciocia, która płaci długi ku ucieśce reszcy żydowskiej, zapewnia młodemu parze egzystencję. Może kazanie dobro- czynnej cioci wypalone Welskiemu na pożegnanie, poprawi go i zrobi porządnym, pracowitym rolnikiem.

Komedję, nie pozbawioną humoru, grano z werwą. Wyroniła się przedewszystkiem p. Feldman jako Wajsbilum i p. Wostrowski jako Welski — pp. Nowacki i Kwiatkiewicz z powodzeniem udawali żydów.

Teatr był pełny, a jak widać było po wybuchach śmiechu, publiczność bawiła się wybornie.

Dr. Eug. B.

Repertuar teatru hr. Skarbka.

W niedzielę o godz. 1/2, do 4 popołudniu „Piękna Helena” opera komiczna w 3 aktach Offenbacha.

W niedzielę o godz. 1/2, do 8 wieczorem po raz drugi „Lichwiarskie swaty” krotechwila w 4 ak. Kazimierza Zalewskiego.

W poniedziałek na ogólne żądanie po raz szósty „Lygia” sensacyjna sztuka w 5 ak. a 8 odsłonach Jamesa Barreta. Z czasów przesładowania chrześcijan za Nerona.

We wtorek „Opowieści Hoffmanna” opera fantastyczna w 4 ak. Jakóba Offenbacha z p. Kłiszewską, Radwanową i Kaspro- wiczową w głównych kobiecych rolach.

* Wspaniały dar naukowy. P. Aleksander Jelski z Zamościa, autor dzieła w 3 t. „Zarys obojętów szlachty w zestawieniu z ekonomiką i dolą ludu w Polsce i na Litwie” (1898—7) współpracownik „Słownika geograficznego ziem polskich” zasłużony wydawca broszur dla ludu w języku białoruskim (do- maczył nawet ogłoszono na białoruskie „Pa- na Tadeusza”) bawił w Krakowie na zjeździe historyków. Przy tej sposobności oświadczył, iż złożył bibliotece Jagiellońskiej owoc pracy swej i zapobiegliwości całego życia, to jest olbrzymie zbiory swoje, obejmujące: dyploma- ty, archiwia, korespondencje królów i do- stojników państwa, dochodzące do piętnastu tysięcy numerów, które ogłoszonymi nadesłał będzie. Między innymi dostarczy wielkiego archiwum Proszora, ostatniego obojętów W. K. Litewskiego. Zbiory te mają tworzyć osob- ną całość pod nazwą Archiwum imienia Jelskich. Na posiedze złożył bibliotece następu- jące rękopisy: 1) Metryka W. Ka. Litewskiego od r. 1752 do 1759, 2) Dwa listy hetmana Chodkiewicza z r. 1609, 3) Listy do ostatnie- go posła Rzeczypospolitej w Anglii Franciszka Bukatego i jego żony Barbary z Proszorów (listów 49) i autografy tegoż Bukatego, 4) List S. Czarneckiego z r. 1658 i Fryderyka III duńskiego do tegoż, 5) Listy M. Btrymowi- cza i Stan. Augusta do tegoż, 6) Listów 123 Józefa Krassowskiego i 53 dokumenty bar- dzo zajmujące, 7) Autografy Tadeusza Ko- szciuszki i jego rodziny, 8) Listy Mikołaja Pała, biskupa kijowskiego (jeden bardzo oie- kawy, bo sięgający roku 1581), 9) Listy mo- narchów: Stefana Batorego, Anny Jagiellon- ki, Zygmunta Augusta, Zygmunta I, króla- wój Bony, Jana III i królowieży Konstancje, Michała Wiśniowieckiego i Eleonory, Jana Kazimierza, Władysława IV, Zygmunta III, Augusta III, Augusta I, Stanisława Leszczyń- skiego i Maryi królowej Francji, Stanisława Poniatowskiego (nagdy 62 listów), 10) Księga Tadeusza Lipskiego kwart. leżycyjskiego, obejmująca kłozę syfrowany do tajemnych ko- rrespondencji królewskich z czasów Augusta III i Poniatowskiego, 11) Dokumenty doty- czące rewizji powiatu mozyrskiego z 1562 r. rozgraniczenia województwa kijowskiego z r. 1666 i rozgraniczenia mińskiej guberni z r. 1825. Przedmioty pamiątkowe, nie mające związku z biblioteką, oddaje W. A. Jelski częścią muzeum narodowemu, częścią zaś ga- binetowi archeologicznemu na uniwersytecie.

Maroko, położone na północnym zachodzie Afryki, ograniczone morzem Śródziemnem, oceanem Atlantyckim, Saharą i Algierją jest państwem o 18.500 mil kwadratowych prze- strzeni. Kraj to gorzysty, przernięty pasmem gór Atlas, tworzących tu mnogie odnogi, tylko w pobliżu oceanu Atlantyckiego tworzy nizinę. Klimat posiada bardzo piękny, sime łagodną, grunt nader urodzajny, a w górach wspaniałe lasy, złożone z najpiękniejszych drzew. Ludność obliczoną na 8 milionów mieszkańców, tworzą przeważnie Arabowie, wynawcy Mahometa, zatrudnieni rolnictwem i hodowlą bydła. Rząd despotyczny w ręku sułtana, noszącego tytuł Emira-al-Mumenina (władcy prawowitego). Dzieje Maroka aż do końca XV wieku związane są z dziejami całej Berberji, zawartej między oceanem Atlantyckim, morzem Śródziemnem a Saharą i obejmującej niegdyś Maroko, Algierję, Tunis i Trypolis. Berberja znana była od wie- ków, tu bowiem na 1000 lat przed Chrystu- sem Fenicyjanie zakładali swoje osady i mia- sta, a pomiędzy niemi i sławną w później- szych czasach Kartaginę. Pierwotnymi mie- szkańcami tej krainy byli Berberowie, którzy dotąd pomimo arabickich i europejskich do- bywców utrzymali się w pełnej czystości. Ważniejszimi potomkami Berberów są Ka- bylowie, mieszkający w górach Algierji, Try- polisu i Tunisu, tudzież Tuaregowie osiedli między Marokiem, Fezem a Sudanem. Są oni potomkami starożytnych Numidów, Maurya- nów i Getulów. Obecnie w samem Maroku i w oazie Tafilet na pograniczu francuskim plemiona marokańskie zbierają się na wojnę świętą, tylko niewiadomo przeciw komu, czy przeciw sułtanowi, czy też przeciw Fran- cuzom, którzy zajęli niedawno oazy: Tuat, Tidikelt, Jussilg i Jngara na południowej gra- nicji Algierji. Tafilet jest to oaza położona na stokach południowych Atlasu, najludniej- sza ze wszystkich oaz Sahary zachodniej, licząca 1880 mil kwadratowych i 10 tysięcy mieszkańców, fanatycznych wyznawców Ma- hometa.

Kalendarz.

W niedzielę d. 10 czerwca Małgorzaty P. — Soś. św. Ducha.

Kapelusze, krawaty, rękawiczki, koszule
skarpetki, laski, parasole, kalosze etc.

poleca Magazyn nowości E. Machayskiego, Lwów, róg ul. Jagiellońskiej i 3 Maja.

